Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

R. VI 1 WRZEŚNIA 1929 Nr. 17

WIADOMOŚCI KATOLICKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEOM I SPRAWOM KATOLICKIM

TREŚĆ:

KRAKÓW

DRUKARNIA „WIADOMOŚCI KATOLICKICH"

Z Rzymu.

Wprawdzie prasa codzienna przyniosła dokładne opisy uroczystości podczas papieskiej procesji eucharystycznej, których *Wiadomości Katolickie* podać nie mogły z powodu przerwy wakacyjnej, to jednak, pomimo że przebrzmiały już te uroczystości, nie możemy powstrzymać się od podania Czytelnikom naszym choć kilku szczegółów o wydarzeniu, które jest ukoronowaniem wszystkich wysiłków podjętych w układach lateraneńskich, oznaką pokoju religijnego we Włoszech.

W pamiętny ten dzień 25 lipca wyszedł Ojciec św. po raz pierwszy z zamkniętej swej siedziby w Watykanie, i nie wyszedł sam, lecz trzymając w rękach swych Sakrament Miłości, tego Boga ukrytego pod mistycznemi postaciami, który nietylko zapowiada światu życie i pokój, ale to życie i ten pokój rzeczywiście mu daje.

Dla człowieka wierzącego, pisze dalej *Civiltà Cattolica,* a tem bardziej dla duszy religijnej, wobec tej harmonji modlitwy liturgicznej, wobec pełnego słodyczy majestatu świętych obrzędów i żarliwości modlitw błagalnych, po których nastąpiło niebiańskie błogosławieństwo boską Eucharystją, milkły wszystkie ludzkie namiętności, znikały wszystkie chmury z rozpogodzonej duszy, a wśród chóru modlitwy za przyjaciół i nieprzyjaciół nietylko ucichały odgłosy wszelkich starć, a wydawało się, że cała olbrzymia ludzka rodzina, w zjednoczeniu z Namiestnikiem Chrystusowym, jak jedna owczarnia i jeden pasterz, jak jedna myśl i jedno serce, oddaje hołd Królowi Wieków Nieśmiertelnemu.

By uczcić jubileusz 50-lecia kapłaństwa Ojca św. zebrała się w Rzymie pielgrzymka alumnów seminarjów duchownych z całego świata. Przybyło ich razem z Włoch i z zagranicy 5.000, w tem z Polski szesnastu seminarzystów. W Rzymie, choć tak przyzwyczajonym do widoku pielgrzymek i obcych, wielkie wrażenie sprawiał widok ich żywej wiary i gorącego zapału religijnego, zwłaszcza gdy wspólnie, niekończącemi się szeregami odbywali jubileuszowe nawiedzania kościołów, lub napełniali olbrzymie bazyliki swym śpiewem liturgicznym.

Cały ten olbrzymi tłum seminarzystów, po wysłuchaniu Mszy św. u św. Jana Laterańskiego, udał się długą procesją do S. Maria Maggiore, wśród śpiewu litanji do WW. Świętych, po którym nastąpiło odśpiewanie *Gloria in exelsis Deo* i hymn *Magnificat*. Tego samego dnia przyjął Ojciec św. seminarzystów obcokrajowców, a to wyszczególnienie przypadło im, mówił Ojciec św., nie jako „obcym“, gdyż nikt nie może się zwać obcym w domu wspólnego ojca, ale dlatego, „że nieuniknione trudy długiej podróży czynią ich w oczach Ojca św. bardziej zasługującymi“. Każdy z nich otrzymał na pamiątkę medalik św. Teresy od Dzieciątka Jezus, protektorki Misyj i broszurę o traktacie lateraneńskim. Pierwszy ten dzień skończył się w Colosseum, gdzie seminarzyści zagrzani słowami Mons. De Sanctis odśpiewali jednogłośnie wyznanie wiary. Następnego dnia pielgrzymi ustawieni na dziedzińcu w pobliżu placu św. Piotra, posuwali się wśród śpiewu do bazyliki Watykańskiej i ujrzeli przy jednem z okien białą postać Ojca św., który podziwiał widok tej procesji i kilkakrotnie jej błogosławił. Wtedy śpiewy zamieniły się na gorące okrzyki, które ustały dopiero wtedy, gdy zniknęła biała postać. Po Mszy św. u św. Piotra, odprawionej przez kardynała Merry del Val, rozbiegli się seminarzyści grupami po Watykanie, by zwiedzać jego wspaniałe dzieła sztuki, popołudnie zaś było poświęcone katakumbom. Trzeci dzień rozpoczął się Mszą św., odprawioną przez kard. Bisleti, a zakończył uroczystą audiencją udzieloną przez Ojca św. wszystkim seminarzystom, zebranym na dziedzińcu św. Damazego. Papież otoczony jedenastu kardynałami i przeszło 70-cioma arcybiskupami i biskupami, rozpoczął przemówienie, wyrażając swą radość, że we „wigilję wielkiego dnia“ otaczają go synowie, że gdy zjednoczą się dookoła ołtarza przy Ofierze, którą Ojciec św. złoży za nich i z nimi, połączą się w chwalebnym pochodzie dookoła Najświętszego Sakramentu, gdzie w mistycznych tajemnicach Sakramentu jaśnieje chwała Chrystusa Króla. Pragnie Ojciec św., by wynieśli oni z Rzymu pobożność, oddanie się synowskie Bogu, Kościołowi, i Papieżowi, pragnie dla nich pobożności eucharystycznej i prawdziwej nauki i to zarówno znajomości nauk świętych, jak i innych nauk, które pomagają przy wykonywaniu pracy koło zbawienia duszy; pragnie czystości anielskiej i pokory, jako cnoty podstawowej i fundamentu całej budowy duchowej.

Słowa i ton ojcowski Papieża wzruszyły głęboko słuchaczy, którzy odpowiedzieli długo nie milknącemi oklaskami, a powtórzyły się one następnego dnia w kościele św. Piotra, gdy ukazał się Ojciec św., by odprawić Mszę św. dla seminarzystów. Ściśle z tą międzynarodową pielgrzymką seminarzystów łączyła się procesja eucharystyczna, która oczywiście przerastała ją niepomiernie co do wielkiej swej wagi i znaczenia.

Po raz pierwszy od 59 lat opuścił Ojciec św. Watykan. Procesja rozpoczęła się o godz. 6 i trwała 2 i pół godziny. Pierwszą część pochodu tworzyło duchowieństwo zakonne, następnie duchowieństwo świeckie, wśród nich 5000 seminarzystów, którzy przybyli z wszystkich prawie krajów całego świata, wreszcie dwór papieski, na czele jego gwardja szwajcarska, a w końcu gwardja szlachecka i pałacowa. Prócz kolegjum kardynalskiego brało w procesji udział 30 patrjarchów, biskupów i arcybiskupów. O godz. 7 i pół wyszedł Ojciec św. z kościoła św. Piotra. Ukazał się zgromadzonym pod białym baldachimem, niesiony na wysokiem podjum, trzymając Najśw. Sakrament. Od ołtarza, ustawionego na środkowej części schodów bazyliki, udzielił Ojciec św. błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem na trzy strony świata, podczas gdy na srebrnych trąbach odegrano hymn papieski. Liczbę uczestników procesji oblicza się na 7000 osób, a liczbę widzów na 300.000 osób. Brało w niej również udział bardzo wielu wojskowych. Ojciec św., jak doniósł *Osservatore Romano*, zabronił robienia zdjęć kinematograficznych procesji, by nie dopuścić do zbeszczeszczenia tego wielkiego i pamiątkowego wydarzenia.

* *
*

Przy sposobności uroczystości z dnia 25 lipca przypomina *La Croix* ostatnie wyjście z Watykanu Papieża Piusa IX.

Było to 19 września 1870.

Dnia tego telegram z Florencji kazał jenerałowi Cadorna (ojcu niedawno zmarłego marszałka Cadorny), zdobyć Rzym siłą. Pius IX dowiedział się, że 60.000 ludzi idzie przeciw niemu, a miał sam tylko 12.000 obrońców.

Wobec tego niebezpieczeństwa grożącego papiestwu Ojciec św. szukał rady w modlitwie. Udał się do Bazyliki św. Jana Laterańskiego i klęczał tam przez chwilę. Potem wolnemi krokami, pochylony goryczą, która napełniła jego serce, zbliżył się do świętych schodów *Scala Santa*.

Świece płonące w kaplicy oświetlały łzy, płynące po jego twarzy. Ukleknął, i pokornie, jak zwykły pielgrzym, bez względów dla swych 78 lat, wielki papież wyszedł po 28 schodach pretorjum Piłata... Gdy zeszedł, zauważyli obecni, że wyraz jego stał się znowu pełen słodyczy i pogody. Papież Pius IX wrócił zaraz potem do Watykanu i nie wyszedł już z niego nigdy.

* *
*

Acta Apostolicae Sedis z lipca przynoszą Motu proprio papieskie, które reguluje współpracę trzech papieskich dzieł misyjnych. Mają one bowiem ściśle współpracować, nie zatracając jednakowoż swych poszczególnych metod pracy. Jest to Dzieło Rozkrzewiania Wiary, Dziecięctwa Jezusowego, oraz dzieło św. Piotra. Sekretarz Kongregacji Propagandy wiary będzie za-

razem generalnym prezesem Dzieła Rozkrzewiania Wiary i Dzieła św. Piotra. Inne Motu proprio ustanawia rozbudowę Dzieła św. Piotra, które otrzyma siedzibę w pałacu Propagandy Wiary.

Z miesiącem sierpniem rozpoczęły się dla Watykanu wakacje. Kardynał sekretarz Stanu opuścił Rzym, a członkowie ciała dyplomatycznego złożyli Ojcu św. pożegnalne wizyty, by także udać się na spoczynek. Jedynie Ojciec św. wakacyj mieć nie będzie, jak również i nowy namiestnik Città del Vaticano, który musi pilnować przeprowadzenia nowych zarządzeń w młodem państwie. Podobnie też Kongregacje, których obowiązki stoją w związku z sprawami konkordatu, nie przerwą swoich prac. Pielgrzymki są w sierpniu rzadkie, ale zato na miesiąc wrzesień jest już zapowiedzianych sto dziesięć pielgrzymek.

MISYJNA POLITYKA KOŚCIOŁA W CHINACH.

W niespełna dwa miesiące po zwycięstwie narodowej partji w Chinach, gdy w Pekinie powstał nowy rząd, jednoczący wszystkich Chińczyków, i tworzący wspólny front przeciw wszystkim obcym, w chwili, kiedy z pośród obcych mocarstw jedne tylko Stany Zjednoczone młody ten rząd uznały, a cały świat tylko pewnem ironicznem spojrzeniem patrzał na wypadki odgrywające się w Pekinie, wysłał Ojciec św. Pius XI do biskupów i wiernych w Chinach list, odznaczający się tak niezwykłą jasnością wysłowienia, taką siłą wyrazu, taką śmiałością myśli, że cały świat napełnił zdziwieniem, podziwem, a nawet, powiedzmy, zgorszeniem. List ten w swoim czasie podaliśmy Czytelnikom naszym w całości (p. *Wiadomości Katolickie* z 1928 r. nr. 17). Orędzie to, które można było uznać za oficjalne uznanie nowego rządu chińskiego przez Kościół, komentowano wszędzie gorączkowo.

Było ono rzeczywiście tylko epizodem w wielkiej kampanji misyjnej, którą Ojciec św. przedsięwziął od czasu wojny, zakończeniem logicznem polityki misyjnej, którą Kościół uprawiał nieustannie od czasu swego założenia, a którą Pius XI uczynił swoją, przystosowując ją do warunków, wśród jakich w czasach obecnych bytuje katolicyzm.

Wskutek może wielu trudności politycznych, takich jak naprzykład kwestja rzymska, która zerwała stosunki papieża z Włochami, lub jak zerwanie stosunków z Francją, które to dwa państwa wraz z Hiszpanją są najgłówniejszemi krajami misyjnemi — czy też może w następstwie błędów heretyckich, przeciw którym musiano bronić całości dogmatycznej, nie objęła Stolica św. aż do czasu wielkiej wojny wyraźnie kierownictwa misjami. Oczywiście, nie można powiedzieć, by Leon XIII czy Pius X nie interesowali się misjami. Ale w całym tym okresie pozostawiał Kościół chętnie wolne pole działania inicjatywie prywatnej, takiej, jaką naprzykład było w Paryżu Tow. Misyj Zagranicznych, lub Propaganda wiary, i Dzieło św. Dziecięctwa, zachowując sobie prawo nadawania tym wysiłkom swych własnych zasad

kierujących, a nawet centralizowania wszystkich tych indywidualnych wysiłków. Na tem właśnie będzie polegać nowa polityka misyjna Kościoła, rozpoczynająca się za panowania Benedykta XV i Piusa XI.

Chcąc określić poczynania dwóch tych papieży w pracy misyjnej, możnaby powiedzieć, że Benedykt XV był teoretykiem, a Pius XI tym, który te teorje urzeczywistnił. Benedykt XV, prócz powszechnie znanych zasad w pracy misyjnej jak staranie się o powołania, modlitwy za misjonarzy, ofiary wiernych, ostrzeżenia przed rywalizowaniem kongregacyj, położył szczególny nacisk na konieczność, by misjonarze wyrabiali duchowieństwo krajowe i utrzymywali ściśle swój charakter ponad narodowościowy. Dwa te ostatnie punkty podejmie z całą swą energją Pius XI.

Utrzymanie charakteru ponad narodowościowego misjonarzy, choć jest tak istotnym i koniecznym warunkiem pracy misyjnej, napotykało w praktyce na bardzo wielkie trudności. Skoro bowiem istnieją protektoraty nad chrześcijanami, odnoszą się one do wszelkich narodowości chrześcijańskich, a więc nietylko do obcych, ale także i do krajowców. W Chinach naprzykład miała Francja bardzo szerokie prawa protektoratu nad wszystkiemi osobami i zakładami nietylko katolickiemi ale chrześcijańskiemi, nawet heretyckiemi i schizmatyckiemi, jakąkolwiekby była ich narodowość, nawet gdyby była chińską. Jakże jasno widać trudności, które mogły stąd wyniknąć dla rozwoju katolicyzmu w Chinach! Jeśli katolicyzm się będzie rozszerzał, jeśli biskupi i kapłani będą Chińczykami, staje się rzeczą niedopuszczalną, by jakieś obce mocarstwo miało protektorat nad jakąś większą ilością ludności krajowej, a równie niemożliwem, by mocarstwo to stało pomiędzy wiernymi a ich bezpośrednią głową, wspólnym ojcem wszystkich chrześcijan.

Orędzie papieskie przypominające misjonarzom obowiązek pamiętania, że katolicyzm ich musi być wysoko ponad ich uczuciami patrjotycznemi, było bardzo na czasie, gdyż zbyt wielu miało skłonność do zapominania o tem.

Młodzi Chińczycy są ksenofobami. By odpowiedzieć czy słusznie, czy nie, należałoby roztrząsnąć zagadnienie wartości całej cywilizacji zachodniej. Ten stan umysłów jest jednakowoż faktem; trzeba było czemprędzej i za wszelką cenę okazać, że Kościół nietylko nie solidaryzuje się z tą lub ową narodowością, ale wogóle nawet z cywilizacją europejską, czy zachodnią. A to mianowicie, że nie solidaryzuje się z nią najpierw odnośnie do tego co jest w niej czysto materjalne, a następnie z punktu widzenia duchowego, odnośnie do tego wszystkiego co jest w tej cywilizacji głęboko niemoralnego i przeciwnego prawdziwej cywilizacji ludzkiej i chrześcijańskiej. Należało za wszelką cenę dać odczuć Chińczykom, że misjonarze nie są przednią strażą, za którą przyjdzie cała armja, czy wojska czy kupców, że kapłani nie przychodzą na to, by zatknąć chorągiew, ale krzyż, że zamiarem ich jest nie usadowić się na stałe, lecz przejść, podając „dobrą nowinę“ i pozostawić potem Kościół chiński dla Chińczyków. Jednem słowem, po ogłoszeniu zasad należało przejść do ich stosowania. Miało to być dziełem Piusa XI.

Jak to Pius XI sam zaznacza w swych encyklikach misyjnych, od samego początku swego pontyfikatu postanowił „poświęcić całą swą energję

na rozszerzenie Królestwa ewangelji, i otworzyć przez to narodom pogańskim jedyną drogę zbawienia".

W tym celu więc wysyła do Chin delegata apostolskiego, mons. Constantini, co było zarazem i zcentralizowaniem w jego osobie akcji tylu i tak różnych narodowości misjonarzy, i również wyniesieniem wysiłków apostolskich Kościoła ponad wszelki nacjonalizm. Dalej w tym samym celu przenosi Ojciec św. siedzibę Propagandy Wiary z Lionu do Rzymu. We Francji wywołało to pewne poruszenie, chociaż powinno było raczej Francuzów napełnić radością, że we Francji powstało dzieło, które Papież uznał za godne zaszczytu zamienienia na dzieło całego Kościoła powszechnego. Ogłasza encyklikę *Rerum Ecclesiae* (p. *Wiad. Kat.* r. 1926 nr. 7), w której wznosząc się ponad małostkowe waśnie ludzkie, i przemawiając w imię najczystszego chrześcijanizmu, głosi Ojciec św. wysoką godność i moralną równość ludów, bez różnicy narodowości, rasy i barwy. Po tej encyklice ukazał się list, przeznaczony dla Chin, dla których miał Ojciec św. niebawem wyświęcić pierwszych sześciu biskupów Chińczyków. List ten *Ab ipsis Pontificatus primordiis*, oddaje hołd cywilizacji chińskiej, oddzielając tem samem sprawy Kościoła od spraw cywilizacji zachodniej czy łacińskiej. Ktokolwiek miał szczęście słuchać opowiadań misjonarzy wracających z Chin, opisujących posłuszeństwo i cześć dzieci dla rodziców, oddanie bogatych dla ubogich, stałość we wierze i miłość tak dla tego ludu naturalną, zrozumie ile prawdy życiowej mieści się w słowach Ojca św. Dalej podnosił ten list z naciskiem nadprzyrodzony charakter pracy misjonarzy, a to szczególnie dlatego, że zwłaszcza w Chinach rozpowszechniło się przeciw Kościołowi uprzedzenie, że jest on na usługach planów politycznych obcych narodów. Ojciec św. uroczyście przeczy temu zdaniu, podnosząc, że Kościół jest katolicki, więc powszechny i należy do wszystkich narodów. Wreszcie z całą jasnością tłumaczy Ojciec św. stanowisko Kościoła wobec narodów mających protektorat nad chrześcijanami. „Jeśli czasami w niektórych krajach władza świecka udzielała opieki Kościołowi, to nigdy się Kościół nie posługiwał tą opieką na szkodę krajowców, ale jedynie by się uchronić, siebie i swoich, przed dokuczliwością złych... Podobnie Stolica św. nie odmówiła tego rodzaju opieki, ale jedynie w tym celu, by ochronić święte misje przed niesprawiedliwością i samowolą ludzi złych, a nigdy, dla pójścia na rękę innym projektom, które mogły mieć obce rządy, którym obrona poddanych dawała pożądany pretekst do interwencji".

W świetle tego przygotowania rozumie się teraz lepiej wartość i ważność sławnego orędzia do Chin, które tak zadziwiło świat cały. Przypatrzmy się jeszcze odpowiedzi, którą na nie przysłali biskupi chińscy. Po opisaniu stanu w jakim zastali swoją ojczyznę, mówią, że oczywiście pragną współpracować lojalnie nad budową przyszłości, ale obawa ich ogarnia na myśl o przykrych wspomnieniach, jakie się wiązały z rewolucyjnemi początkami nowego porządku, kiedy to tylu chrześcijan i kapłanów cierpiało z powodu komunistów. Co się stanie, jeśli część naszych wiernych cofnie się, zajmując stanowisko niedowierzające, utworzy atmosferę pełną podejrzliwości dla nazwy chrześcijanina, zrobi im opinję, że są obojętni dla dobra państwa.

„W takiej właśnie chwili, zanim nazwa chrześcijanina mogła była ucier-

pieć, doszedł nas Ojcze święty, głos Twój ze wzgórz wiecznych, jakoby błogosławieństwo Boga najlepszego".

„Niech będzie błogosławione słowo Papieża, które nam przynosi światło, radość i dumę".

wedł. *Vie Intellectuelle.*

O GODNOŚCI PRACY.

Praca na samym początku została nałożoną na ludzkość która zgrzeszyła, jako kara; ale dzięki boskiej ekonomji, w każdej karze znajduje się zarodek rehabilitacji, a w każdym wyroku rękojmia odkupienia. Legenda średniowieczna widziała w drzewie krzyża, na którym zawisł Odkupiciel, szczątki tego drzewa wiedzy dobra i zła, które w raju zgubiło naszych pierwszych rodziców. A czyż św. Paweł nie mówił, że z przepaści jego słabości rodzi się jego siła? Tak samo jest z pracą.

W pracy mamy i karę i cierpienie, jest ona dla całej ludzkości nieuniknioną koniecznością, ale jest i również pobudką do stałych wysiłków i wydobywa z nas całą energję, czyni ramię potężnem, wolę silną i wytrwałą, serce szlachetnem, i tak w czysto ludzkiej nawet dziedzinie, jest praca jedną z najwyższych sił, które urabiają ludzkość.

Przez dobra, jakie wyrywa ziemi, zraszając ją swoim potem, przez usilne poszukiwania wiedzy, za pomocą której opanowuje siły natury, by niemi kierować, przemieniając je z sił niszczących w źródła postępu, praca zapewnia „trzcinie myślącej" przewagę nad przyrodą, która zdawałoby się, musi ludzkość zwyciężyć i zniszczyć.

Gdy zwrócimy się w dziedzinę porządku nadprzyrodzonego, czyż nie widzimy w pracy jednego ze skrzydeł wznoszących człowieka ponad niego samego? Przyjmować dzielnie trud, jaki ona nakłada i cierpienie jakie przynosi z sobą, czyż nie znaczy to gromadzić, choćby to było w najskromniejszej dziedzinie, skarbów ofiary, rezygnacji i energji, zbliżających nas do Tego, który nam tu w najwyższym stopniu świeci przykładem, do Chrystusa Zbawiciela? I czyż nie znaczy to być uwielbionym z Tym, który chciał zapanowac przez krzyż i który stał się przez to przed-

miotem naszych uwielbień, mając zamiast tronu narzędzie swej męki?

Przemieniony przez pokorne przyjęcie swej kary, znajduje człowiek wielką radość w tem, co było cierpieniem, i chwałę w tem, co było jego karą.

W ten sposób urzeczywistnia się w dziedzinie pracy boski plan zbawienia ludzkości przez pokutę i próbę. I oto dlaczego Ojciec św. przyjmując robotniczą pielgrzymkę z Francji, w gorących i pełnych zapału słowach mówił o pracy, jako o źródle postępu ludzkiego we wszystkich jego formach, i o wzniosłem usposobieniu wszystkich tych, którzy choćby byli w oczach świata najnędzniejszymi, oddają się jej w duchu wiary:

„Cześć pracy, która usprawiedliwia życie i dostarcza mu środków, pracy, która przynosi duszy zadowolenia i radości najszlachetniejsze!

Cześć pracy, która uszlachetnia życie ludzkie a przedewszystkiem życie chrześcijańskie!

Cześć pracy będącej zarazem ekspiacją, którą Bóg nałożył na grzech ludzkości, i praktyką syntetyczną najwyższych cnót!

Cześć pracy, która została uczczoną i uświęconą osobiście przez boskiego Odkupiciela, przez Syna Bożego, który jej poświęcił prawie całe swoje życie i uczynił z niej jedno z najpotężniejszych narzędzi naszego powszechnego odkupienia! Cześć pracy!“,

Jakże piękną jest koncepcja pracy, ta którą podaje nam Kościół. Bronić się musimy przed koncepcją pracy filozofji, która—jak mówił Ojciec św.—„chciałaby rozwiązać zagadnienia społeczne, te zagadnienia tak bardzo ludzkie, w tak nieludzki sposób, jak przez twardą i bezwzględną konkurencją, przez dziką walkę o byt, przez brutalną selekcję, i jeszcze brutalniejszą eliminację słabych. Takie doktryny nigdy u nas nie mogą znaleźć posłuchu, tak samo jak go nie mogą znaleźć i te, któreby chciały, by w zbiorowości zginął człowiek indywidualny. Owszem, wszystko ma służyć ku podniesieniu każdej poszczególnej duszy, gdyż Chrystus chciał zbawić wszystkie dusze, za każdą z nich przelał Swą Krew i dla każdej przysposobił skarby życia duchowego“.

Są chwile, w których ludzkość zdaje się upadać pod ciężarem dnia i upału. Bóg-Człowiek czyż nie uginał się pod cięża-

rem krzyża w najwyższym akcie naszego odkupienia? Słuchajmy więc słowa boskiego, które przynosi nam z wysokości niebios, z nakazem pracy siłę do jej wypełnienia, do podniesienia się, i napełnia nas nowym zapałem nadprzyrodzonym: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy upadacie pod ciężarem waszego trudnego zadania, a ja wam dam nowe siły!“.

wedł. *La Croix.*

SPISEK MILCZENIA.

Przed dwoma laty postawił papież Pius XI pod pręgierz metodę całej prasy akatolickiej, zwracając uwagę świata na krwawe prześladowania chrześcijan w Meksyku i podnosząc fakt, że cała prasa świata tamtejsze wypadki przedstawia albo w fałszywem świetle, albo zupełnie pomija je milczeniem. Dla wielkiej prasy światowej, przypomina *Das Neue Reich*, i wielkich międzynarodowych agencyj telegraficznych, znajdujących się w rękach nie-katolików, najniebezpieczniejszą bronią nie jest otwarta napaść czy wydobywanie każdej, wrogiej katolicyzmowi wiadomości, zresztą często przekształconej zupełnie; wobec otwartych nieprzyjaciół można się bronić i wzajemnie atakować. Najstraszliwszą metodą jest raczej milczenie, grobowe, zabójcze milczenie. Każdy dzień, każdy numer tej prasy przypomina nam tę metodę walki, podaje większe lub mniejsze przykłady na to, jak katolicyzm, katolickie życie i działalność, jak największe wysiłki i zasługi katolików położone w dziedzinie nauki, sztuki, literatury i techniki, są pomijane milczeniem, lub tylko zbywane małą wzmianką na ostatniem miejscu dziennika. Ten los dzielą wraz z pojedynczemi osobistościami całe państwa i narody, gdy jawnie dają wyraz swemu katolicyzmowi, jak Hiszpanja, Włochy i inne. Zwłaszcza przeciwko Hiszpanji zwraca się ta broń zabójczego milczenia. Typowym na to przykładem jest odniesienie się do wielkiego lotu oceanicznego dokonanego przez dwóch Hiszpanów Jimeneza i Iglesiasa, którzy na samolocie „Jesus del Gran Poter“ w 44 godzinach przelecieli 6650 km., z tych 3200 km. nad oceanem (z Dakaru do Natalu); jakiż dziennik o tem doniósł, który podał ilustracje? Gdy Lindbergh dokonał pierwszego lotu przez ocean, donosiła o tem cała prasa wielkiemi literami na pierwszych stronicach, — jest to zrozumiałe; ale także i o następnych lotach Chamberlaine'a, Levine'a i innych rozpisywano się szeroko, na Lindbergh'a odtąd stale zwracano uwagę w różny sposób, opisano jego lot do Meksyku, jego zaręczyny, jego ślub, o wszystkiem donosiły dzienniki i umieszczały odpowiednie ilustracje. Czyż nie da się tego wytłumaczyć tem, że Lindbergh jako mason, jest towarzyszem owych ludzi, w których rękach spoczywa prasa wielkiego świata i którzy kierują agencjami telegraficznemi, podczas gdy owi Hiszpanie są wierzącymi katolikami, którzy okazali także swą wiarę w nazwie

nadanej swemu samolotowi. „Jesus Gran Poter“ znaczy mniej więcej tyle co „Najpotężniejszy Jezus“. Czyż wobec tego może być dziwnem, że podpadli oni pod klątwę starego Testamentu:... „nie będą wymienieni!“

Katolicka prasa niemiecka żali się również na tego rodzaju metody zwalczania katolików. — *Schönere Zukunft* pisze, że telegram dziękczynny prezydenta Paragwaju do Ojca św. za jego interwencję pokojową w sporze między Paragwajem a Boliwją został podany w zmienionej formie prasie niemieckiej, wypuszczono bowiem tekst, który zawierał następujące chrześcijańskie wyznanie wiary: „Lud mój, posłuszny nauce Tego, który umarł, by ludzie uważali się za braci i czynili dobrze“... Opuszczono aluzję do Chrystusa Pana, a przy końcu przemilczano wyrazy czci dla Ojca świętego.

Podobnie także nie umiały telegramy o pierwszym międzynarodowym zlocie katolickich towarzystw sportowych w Pradze donieść w Niemczech o niczem innem jak o rzeczach, które zupełnie nie stoją w związku z tem świętem, jak samobójstwach, wysiłkach policji i straży ogniowej i t. d., co wyraźnie wskazuje na tendencję obniżenia wielkich uroczystości katolickich. Nie mówimy już nawet o zupełnem fałszowaniu, lub wprost o zmyślaniu faktów, lub zdarzeń zohydzających religję, z któremi we Francji tak dzielnie się walczy.

W katolickiem angielskiem czasopismie „*The second Spring*” (Druga wiosna) żali się jeden z katolickich autorów w imieniu swoich współwyznawców, na jednostronne stanowisko nie-katolickiej angielskiej prasy, zwłaszcza „*Times'a*”, wobec katolików. Pomimo, że Wielka Brytanja, bez Irlandji, liczy około 3 miljonów katolików wśród swojej 45 miljonowej ludności, i pomimo, że rocznie 12,000 do 15.000 Anglików przechodzi na katolicyzm, pomimo, że każdej niedzieli dwa i pół miljona katolików słucha Mszy św. — liczba ta przewyższa znacznie liczbę osób biorących udział w nabożeństwach niedzielnych protestanckich, — wszystko co tylko dotyczy Kościoła katolickiego zostaje pominięte milczeniem, lub przedstawione w świetle zmieniającem zupełnie postać rzeczy. Anglja nie ma nic wiedzieć o rozkwicie katolickiego życia. Przytem zajmuje się „*Times*“ szczegółowo najmniejszą nawet sektą protestancką, z większem upodobaniem niż Kościołem katolickim. Rzadko znaleźć można na szpaltach tego dziennika jakiś objektywny artykuł o zagadnieniach katolickich. Czyż to nie ta sama metoda przemilczania, które ma sprawę utrącić?

WIELKI WYCHOWAWCA NORWESKI LARS ESKELAND.

Na początku niniejszego artykułu pragniemy przypomnieć naszym Czytelnikom fakt, iż Lars Eskeland był słynnym pedagogiem, a w kraju swoim stworzył najlepszą szkołę, będącą dumą narodową Norwegji. Przez lat dwadzieścia szkołę tę prowadził, a dopiero gdy przeszedł na katolicyzm, kierownictwo jej zostało mu odebrane, i to na mocy uchwały parlamentu,

a jedynie dlatego, iż zmienił wiarę ojców swoich, przyjmując wierzenia katolickie, które jak zobaczymy poniżej, od lat najmłodszych go pociągały.

Lars Eskeland — oto człowiek, którego niegdyś cała prasa norweska, bez różnic partji, czy wyznania, witała jako jednego z największych pedagogów-wychowawców współczesnych czasów. Poruszenie, jakie wywołało jego nawrócenie, oraz dramatyczne tegoż skutki, łącznie z blaskiem rozgłosu opromieniającym jego imię, uczyniło go zbyt sławnym, byśmy nie zapragnęli uwagę naszą skupić na jego tak wybitnej osobowości.

Miałem przyjemność — pisze korespondent *La Croix*, — spotkania go w gościnnym domu w Touraine, dokąd przybył na kilka dni do jednego ze swych ziomków, młodego uczonego, który też ze swej strony tam znalazł drogę powrotu do prawdziwej wiary. Przedewszystkiem byłem ciekawy poznać genezę tego nawrócenia, które od pierwszego niemal dnia zaznaczyło się w jego duszy z tak niezłomnem przekonaniem, iż zdołało przenieść bez wahania tę przeogromną próbę, na jaką został wystawiony, choć doświadczenie to odbiło się nawet na silnym jego organizmie.

„Zawsze, zawsze, mówił do mnie wskazując na serce swoje, zawsze czułem tam niepokój, którego przytłumić nie zdołały ani prace, ani interesa, ani nawet rozrywki: ciągle brakowało mi czegoś".

„Czego?" spytałem.

„Brakowało mi spowiedzi", odparł i opowiedział mi o jednem zdarzeniu ze swego dzieciństwa, gdzie już objawiła się śmiałość duszy, w której kiełkują niejasne jeszcze dążenia. Działo się to w szkole ludowej, dokąd uczęszczał mając około 10 lat tylko. By zaznaczyć wyższość religji narodowej nad katolicyzmem, nauczyciel pyta klasę głosem, który niejako dyktuje z góry odpowiedź:

„Czy sądzicie moje dzieci, że katolik może pójść do nieba"?

Na co wszyscy, idąc w myśl nauczyciela chórem odpowiadają: „nie, nigdy".

Jedynie młody Eskeland nic nie odrzekł, ale gdy zapadło znów milczenie, wtenczas przemówił i zwracając się do nauczyciela rzekł stanowczo i głośno:

„Ja wierzę, że katolik może pójść do nieba".

Nauczyciel, zaskoczony tem tak nieoczekiwanem powiedzeniem spuścił najpierw głowę, jakby się namyślał, wreszcie po chwili rzekł jak od niechcenia: „Tak, być może, jednak to będzie bardzo trudnem".

W jakiż przedziwny sposób pewność taka powstać mogła w umyśle dziecka? Zapał z jakim przemówił, świadczył o jego szczerości; a jednak znał wiarę katolicką tylko z karykatur rozpowszechnianych wokoło niego, i z szyderczych uwag jakich jej nie szczędzono. Z drugiej strony, przy ognisku rodzinnem, nawet w ukryciu nie mógłby oddychać atmosferą religijną, gdyż w tej materji właśnie panowała wokół niego najgłębsza obojętność: ani książki, ani słowa, któreby mogły otworzyć mu oczy. Ale któż potrafi odkryć tajemnicze dotknięcia Tego, o którym powiedziano jest: *Spiritus ubi vult spirat.* „Duch tchnie kędy chce".

*
* *

Po opuszczeniu szkoły normalnej i Lars Eskeland począł dzielić pod względem religijnym obojętność swego otoczenia; a kiedy ukończył z wielkiem powodzeniem wyższe studja uniwersyteckie, był już całkowitym niedowiarkiem, a raczej myślał, iż jest takim. W rzeczywistości jednak, tylko umysł jego był tknięty niewiarą, w sercu zaś gorzał płomień, silny zawsze, choć chwilowo przytłumiony, tych idealnych, a gorących pragnień, które podtrzymywały jego życie. Dlatego też, gdy wybrał sobie zawód wychowawcy, zwrócił się w tę stronę, która odpowiada najlepiej jego wewnętrznej moralnej wielkości, obrał sobie wyższą szkołę wiedzy praktycznej.

Istnieje bowiem w Norwegji ten rodzaj nauczania we Francji, nieznany, przynajmniej w tej specyficznej formie, który za cel jedyny swej działalności stawia sobie urobienie charakteru. Mamy wyższe szkoły chemji, elektryczności, rolnictwa, ale nie posiadamy tej wiedzy, ze wszystkich najpotrzebniejszej, skoro zdoła ona z głębin duszy ludzkiej wydobyć, udoskonalić i wzmocnić te pierwiastki żywotne, przez które człowiek staje się prawdziwie człowiekiem.

Naród norweski posiada wyższe szkoły tego rodzaju, rozsiane licznie w różnych punktach kraju. W dowolnym przekładzie możnaby je nazwać „uzupełniającemi", skoro w nich właśnie, przez poddanie woli szczegółowej dyscyplinie, uzupełnia się to wyrobienie, które dyscypliny moralne i intelektualne nadały studentowi już poprzednio.

W zakładzie, w którym Lars Eskeland najpierw począł pracować, odrazu się odznaczył jasną pewnością swego nauczania, opartego na metodzie postępowania czysto osobistego, zbyt osobistego może, by się dało utrzymać w ramach starych metod, które pod jego dotknięciem zdawały się pękać jak suche drzazgi drzewne; to też zapragnął mieć swoją własną szkołę, na jego sposób urządzoną.

Zaczem w mieście Voss zbudował wspaniały dom wychowawczy, który niebawem tak dalece zasłynął, iż cała kulturalna Norwegja pragnęła go zwiedzić względnie doń uczęszczać. Na tej placówce pracował przez lat przeszło 20, otoczony profesorami, urobionymi już na jego modłę, posługującymi się książkami przez niego pisanemi. W ten sposób Lars Eskeland nauczał i wychowywał więcej niż 200 internistów, przeważnie będących synami pastorów protestanckich, a doskonałość jego systemu uczyniła zeń niebawem mistrza-wychowawcę, na którego skierowaną była uwaga wszystkich mieszkańców królestwa.

Równolegle z tem szczególnem nauczaniem, którego źródło tryskało z najwyższych ideałów ludzkości, rozpoczyna on drugie, czerpane ze źródła ideału patrjotycznego.

W ciągu długich lat swej przynależności do Danji, Norwegja widziała się zmuszoną do przyswojenia sobie języka swego władcy, a choć odeń uwolniona, otrzymała rodzaj połowicznej niepodległości pod rządami Szwecji, to jednak język duński pozostał w użyciu w ważniejszych okolicznościach życia i jako język oficjalny, chociaż podległy z upływem. czasu niejakim zmianom. Był to, tak zwany „riksmal", czyli język literacki Ale obok tegoż nie przestała wzrastać w cieniu ukrycia i inna mowa, „landsmal", czyli gwara ludowa, specyficzny język ludu norweskiego.

Język ten, postawił rząd niebawem na równi z riksmal'em, jako drugi język urzędowy. Lars Eskeland postanowił go oczyścić z naleciałości, a przez to zwrócić mu dawne jego prawo pierwszeństwa. Opisuje więc jego historję, odkrywa bogactwa literatury dotąd nieznane, ukazując go wreszcie jako dokładny obraz duszy norweskiej, skoro z głębin jej wyszedł, lecz przedewszystkiem każe go ukochać, tak jak się kocha dziecię z krwi swej zrodzone. Trudno sobie wyobrazić jaki rozgłos podobne nowatorstwo wywołało w całej młodej Norwegji, a równocześnie jaki odblask powagi i uznania rzuciło na człowieka, który był tego ruchu inicjatorem i apostołem.

*
* *

Jednakowoż ciągle wzrastające powodzenie mistrza, jak i pochwały stąd płynące, nie potrafiły ukoić tego wewnętrznego uczuc a, nieokreślonego braku, który targał mu duszę. Gdzież szukać tej moralnej wzniosłości będącej dążeniem jego żywota, jeśli nie w doskonałej czystości wolnej od wszelkich wyziewów, tchnących z nizin życia. Ale któż się może pochwalić, iż nigdy go nie tknęła ta zgnilizna zepsucia, lub też, że mimo wszelkich postanowień zawsze jej unikał? Gdy wiara w Boga mu wróciła, wróciła też i gwałtowna potrzeba duszy, by rzucić się do stóp tego Boga i wołać o miłosierdzie dla swej nędzy. Gdyż nie wystarcza mu wierzyć w przebaczenie, wyobraźni urojone, on chce mieć zapewnienie, iż Bóstwo, które obraził, dług mu darowało.

Ale gdzie jest ten głos Boży, któryby mu pokój zapewnił? Z pewnością nie znajdzie go w protestantyzmie, gdzie obraz Jego tak mglisty, a słowa tak niejasne, iż Jego słudzy, sami sobie zostawieni, porozumieć się nieraz nie mogą ani co do Osoby Jego wysłannika na ziemi: Chrystusa, ani co do natury Jego nauki. A potem, czemże jest to przebaczenie, oparte jedynie na własnem samopoczuciu, na urojonem wyobrażeniu tylko, że się je otrzymało! Gdy tymczasem w religji katolickiej, poczętej z tego samego pnia, Bóg istnieje prawdziwie w swoich kapłanach, w swych oficjalnych wysłańcach, a gdy kapłani Jego przyjmują wyznanie grzechów, tak i prawdziwe dają przebaczenie. I Bóg prawdziwy istnieje w tej Hostji utajony. A religja, która w ten sposób odpowiada najgłębszym potrzebom duszy, w której sumienie znajduje najdoskonalszy pokój, a serce pełnię odpoczynku, czyżby mogła być kłamliwą?

Przez szereg lat myśli te kiełkują w jego duszy, wzrastają, jako burza nim miotają, nie dając mu spokoju, tak dalece, iż nie mogąc dać sobie rady, idzie wreszcie do proboszcza w Hamar, Mgr. Kjelstrup. Dotąd nie otworzył nawet żadnej książki o wierze katolickiej, ani nie pytał żadnego katolickiego kapłana, a jednak ma najgłębsze przekonanie, iż jedynie katolicyzm posiada pełnię prawdy. Sam fakt, iż z tej wiary tak niewymowny pokój na duszę spływa, jest dla niego niewyczerpanym dowodem, że całość doktryny jest równie boską; i już bez wahania składa w ręce prałata wyznanie swojej wiary.

*
* *

Czyż pomyślał był naprzód o prawdopodobnych skutkach, jakie z tego czynu wypłynąć miały dla przyszłości jego szkoły? Z pewnością, że tak; ale wobec osiągniętego pokoju duszy, nic już nie zdoła go powstrzymać. I rzeczywiście skutki te wkrótce objawić się miały i z nieubłaganą surowością, jakby miażdżąca tłocznia, spłynęły na niego, krusząc najdelikatniejsze odczucia serca.

Gdy wieść o nawróceniu mistrza stała się rozgłośną, poryw zdumienia ogarnął kraj cały. I nie sądzę, by nawet nawrócenie Sigrid Undset, mimo ogromnego uznania, jakiem się już wówczas cieszyła, poruszyło równie głęboko norweską duszę.

Z początku nie podniósł się przeciw niemu żaden głos potępienia, za to, iż poszedł za wołaniem swego sumienia. Niedługo to jednak trwało: garstka starych luteranów, tych zażartych sekciarzy, którzy wypisali na czele swego Credo: „Katolicyzm, oto jest nasz wróg!“ wnosi interpelację do parlamentu: „Jakie stanowisko zajmie Minister Wyznań wobec Dyrektora szkoły w Voss, który przeszedł na katolicyzm?

Czyż rząd luterański uznaje i subwencjonuje zakład, kierowany przez członka obcego, przeciwnego wyznania"?

Zakłopotany minister pragnie przed powzięciem decyzji rozmówić się z zainteresowanym, i najpierw tę konieczność podkreśla, a lękając się podpisania dekretów, które, pozbawiając szkołę jej kierownika i szefa, powstrzymałyby równocześnie wspaniały jej rozwój, z którego korzysta cały naród, usiłuje przewlekać sprawę, parlamentuje z Lars Eskelandem, wzywając go do cofnięcia swego kroku, przyczem stawia mu przed oczy nieuniknione skutki ustawy, którym będzie musiał ulec. I tak szuka wyjścia przed interpelacją parlamentarną, a tymczasem poczyna się kotłować we wszystkich sferach intelektualnych. Prasa pochwyciła sprawę w swoje ręce, jest to najważniejsze wydarzenie dnia. Po całym kraju powstaje młodzież, by mistrzowi uczynić tarczę obronną ze swych rozlicznych konferencyj, meetingów i wogóle protestów wszelkiego rodzaju; wszyscy najsłynniejsi nawet przedstawiciele luterańskiego kleru, podnoszą w rozmaitych formach tę właśnie odpowiedź, jaką sam Lars Eskeland dał oficjalnym pogróżkom: „Gdzież jest ta wolność sumienia, z której kraj nasz tak był dotąd dumnym? Że dyrektor szkoły w Voss przyjął katolicyzm, jest to jego osobistą sprawą, do której nikt nie ma prawa się wtrącać. Jego czynnościom nic to nie przeszkadza, bo choć działalność jego obraca się bezwątpienia w wysokich dziedzinach, to jednak z dziedziny tej wykluczone są rzeczy specyficznie religijnej natury. W jakiż sposób profesor lingwistyki czy historji miałby mieć gorsze kwalifikacje do nauczania, dlatego tylko, iż stał się katolikiem?

Ale łatwo było odgadnąć, że nie tu tkwiło jądro sprawy. Chodziło poprostu o usunięcie za wszelką cenę z wyższej szkoły nowonawróconego, gdyż jego wpływ niesłychany byłby z pewnością stworzył odruch religijny, pociągający za sobą co było najlepszego wśród młodzieży norweskiej.

I dlatego zmuszony przemożnym naciskiem partji luterskiej musiał rząd poświęcić Eskelanda i odjąć mu kierownictwo jego szkoły. Był to cios najcięższy, jaki można mu było zadać. Szkoła, którą wzniósł niejako kamień po kamieniu, ceną własnych wysiłków i zażartej pracy, którą urobił

swem sercem i duchem, została teraz oderwaną od niego, a zabrać mu ją, znaczyło tyle, co kawałkami szarpać mu ciało.

Jednakowoż Lars Eskeland, jak prawdziwy chrześcijanin przyjął wyrok ten z rezygnacją, nie ugiął się, choć wyrzekł się walki przeciw rządowi, czuł bowiem, iż mając za sobą opinję i prawo, mógłby był rząd w złem postawić świetle.

Oddał poprostu zarząd szkoły swemu synowi, sam w cień się usuwając. We Voss, w domu, którego odebrać mu nie mogą, gdyż jest jego własnością, Lars Eskeland żyje dzisiaj ze złamanem zapewne sercem, ale szczęśliwy, iż nareszcie znalazł pokój duszy!

Poświęciwszy całe swoje życie dla obrony najwyższych wartości ludzkich, teraz poświęca się pracy literackiej, by za pomocą książek i pism bronić najpierwszej ze wszystkich wartości, bronić swego Boga. Wielki, piękny duch, wykuty jakby ze stali, a pod tą powierzchnią kryjący najwrażliwszą z uczuciowości. — I widzę jeszcze, gdym go żegnał, winszując mu, iż swą stałością we wierze dał światu chrześcijańskiemu tak piękny przykład, jak oczy jego zaszły łzami, podczas gdy drżącemi rękoma ściskał moje dłonie.

wedł. *La Croix.* tłum. M. M.

PRZENIESIENIE ZWŁOK O. FOUCAULD.

Karawana Ojców Białych, donosi *Osservatore Romano*, która udała się do Tamanrasset w celu zabrania ciała O. Karola de Foucauld i przewiezienia go do El-Golea, powróciła już do domu macierzystego w Carrée, dopełniwszy szczęśliwie swojej misji. Komisja ta w ciągu 22 dni przebyła tam i z powrotem z Algieru do Tamanrasset 4.200 km., w tem 3.000 km. przez Saharę. Cyfry te mówią o trudności i znaczeniu tego przeniesienia ciała słynnego pustelnika, które było konieczne dla przeprowadzenia jego procesu beatyfikacyjnego.

Ekshumacja odbyła się 18 kwietnia w obecności Mons. Nouet, prefekta apostolskiego na Saharze i inicjatora sprawy beatyfikacyjnej, O. Constantin, promotora, O. Joyeux, wice-postulatora, i O. Foca, notarjusza. Obecnym był również generał Meynier, dyrektor prowincyj południowych, któremu towarzyszył kapitan Lehureaux, oraz porucznik d'Ornant, komendant okręgu Hoggar.

Generał Meynier, przedstawiciel naczelnego gubernatora, który użyczył wszelkiej pomocy w przewiezieniu ciała członkom komisji, w wzruszających słowach przedstawił znaczenie uroczystości, sławiąc świętego pustelnika z Sahary, podnosząc jego cnoty chrześcijańskie i jego patrjotyzm, a zwłaszcza jego głęboką miłość pokory i ukrytego życia.

Ciało Sługi bożego, które znaleziono w doskonałym stanie i na którem widać wyraźnie śmiertelną ranę, zadaną mu dnia 1 grudnia 1916 r., zostało zamknięte w potrójnej skrzyni, wraz z sprawozdaniem ekshumacji włożonem do rury szklanej.

Odpowiadając życzeniom O. de Foucauld, serce jego, które tak ukochało biednych Tuaregów i które było tak ściśle złączone z sercem przyjaciela, generała Laperrine, zostało pochowane koło jego grobu. Tuaregowie, którzy byli świadkami miłości chrześcijańskiej świętego pustelnika, zjawili się tłumnie i przyjmowali gościnnie członków misji, przybyłej w celu uczczenia tego, który z takiem poświęceniem oddał się na ich usługi i który często wyrażał pragnienie poniesienia śmierci dla zbawienia ich dusz. Słynni ci jeźdźcy wykonali uroczystą fantazję ćwiczeń, chcąc wyrazić swą wdzięczność zmarłemu swemu dobroczyńcy.

Karawana wyruszyła z Tamanrasset 21 kwietnia, automobil wiózł drogocenne szczątki przez pustynię, którą tyle razy przebył święty pustelnik pieszo, a za nim posuwała się komisja w pobożnem skupieniu i modlitwie. Karawana dotarła do El-Golea 25 kwietnia. Nazajutrz rano, po nabożeństwie uroczystem w kościele parafjalnym, ciało Sługi bożego złożono w grobie, przygotowanym przez OO. Białych w chrześcijańskiej wiosce św. Józefa, oddalonej o dwa kilometry od centrum El-Golea.

El-Golea znajduje się 520 km. na południe w Laghauat, położonem u wejścia na pustynię. Grób O. Foucauld leży zatem już na Saharze, jednak niezbyt daleko i pod dobrą strażą, tak że odwiedzanie go nie będzie trudnem, i będzie można, kiedy okaże się potrzeba, przedsięwziąć z łatwością odpowiednie badania kościelne związane z procesem beatyfikacyjnym.

POLSKA PRACA MISYJNA NA WSCHODZIE.

Zjednoczenie Kościołów wschodnich z Kościołem rzymsko-katolickim jest dziś jednem z najgorętszych pragnień Stolicy Apostolskiej, to też wzmożona i ożywiona praca misyjna charakteryzuje pontyfikat Papieża Piusa XI.

Z radością czytamy w sprawozdaniu księdza Nowackiego (w Gazecie *Polak-Katolik* z dnia 26—30 stycznia 1929 roku), z jego wycieczki do Belgji, o pracy OO. benedyktynów i ich poważnych, głębokich studjach nad obrządkiem wschodnio-słowiańskim. W kościele klasztornym obok ołtarzy łacińskich jest kaplica obrządku wschodniego, gdzie ojcowie tegoż obrządku odprawiają nabożeństwa w liturgji wschodnio-słowiańskiej przy współudziale chórów gregorjańskich, porywających serca zarówno głębią treści modlitw jak i potęgą uczucia i pięknością wykonania. To zjednoczenie dwóch bratnich obrządków w jednym kościele, gdzie wierni mogą naprzemian brać udział w nabożeństwie łacińskiem i słowiańskiem, jest pięknem zrealizowaniem najgorętszego pragnienia Serca Jezusowego, wyrażonego w modlitwie: *„Aby byli jedno, jako i My jedno jesteśmy"*.

Społeczeństwu znaną jest placówka misyjna OO. jezuitów wschodniego obrządku w Albertynie, diecezji wileńskiej; myśl tę podjęły już i inne zgromadzenia zakonne, a w 1927 roku., przejęte tą ideą powstało w Warszawie nowe żeńskie Zgromadzenie, którego początki są następujące.

W 1923 roku., przy kościele OO. jezuitów w Warszawie powstało stowarzyszenie pod nazwą „Związek Czcicielek Najśw. Serca Jezusa". Rozpoczął on gorliwą pracę nad oświeceniem religijnem i pogłębieniem życia wewnętrznego w swoich własnych środowiskach, następnie objął prowadzenie pogadanek i nauczanie religijne w różnych instytucjach i stowarzyszeniach. W roku 1924-tym, gdy Związek liczył około 200 członkiń, w tym czasie, kiedy na kresach organizowała się stacja misyjna OO. jezuitów w Albertynie, wkrótce powstał projekt, by utworzyć stowarzyszenie katechetek, któreby zajęły się katechizacją nowonawróconych prawosławnych. Po rozważeniu trudności i korzyści takiej pracy na Wschodzie, całą sprawę polecono Najśw. Sercu Jezusowemu. Wkrótce też zamiary Boże zaczęły stawać się coraz jaśniejszemi.

Pewna część kandydatek oświadczyła, że wolalaby pracować jako zakonnice, aby w ten sposób mieć ze strony Kościoła więcej praw do opieki i więcej środków uświęcenia. Wahania Ojca Dyrektora rozstrzygnęła jego władza na korzyść zgromadzenia zakonnego, które w ten sposób wyłoniło się ze Związku pod nazwą SS. Misjonarek Najśw. Serca Jezusowego.

Wyraźnie określony cel i program obejmuje pracę misyjną wśród ludności schizmatyckiej, aby ją do jedności z Kościołem doprowadzić, a nawróconą utwierdzać w wierze i pouczać, a więc katechizacje, przygotowanie dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunji św., ochroniarstwo, pracę w szkołach powszechnych lub średnich, pielęgnowanie chorych, spieszenie ze słowem Bożem wszędzie, gdzie kościoły najdalej i dusze opuszczone wskutek braku pomocy kapłańskiej.

Taki obowiązek zrozumie tylko dusza nie szukająca siebie, wyniszczona i wewnętrznie wyrobiona, to też pierwszym i niezbędnym celem Zgromadzenia SS. Misjonarek jest praca około zbawienia i udoskonalenia własnej duszy. Powołanie to musi łączyć życie kontemplacji i wewnętrzne skupienie wraz z pracą misyjną.

W jesieni r. 1927 Ks. Metropolita wileński, Romuald Jałbrzykowski, przyjął młodziutkie Zgromadzenie na teren swej diecezji i pozwolił mu na otwarcie domu zakonnego i urządzenie w nim kaplicy pod wezwaniem Błogosławionego Andrzeja Boboli, przy ulicy Ofiarnej, w zdrowej i cichej dzielnicy Wilna, blisko kościoła SS. Jakóba i Filipa. Tu, pod opieką cudownej Ostrobramskiej Matki Miłosierdzia, siostry Misjonarki rozpoczęły nowicjat, wspierane materjalnie przez Związek Czcicielek Najśw. Serca Jezusowego, który zobowiązał się do wypłacania stałej miesięcznej pensji otrzymanej z opodatkowania członkiń przez czas, w którym Siostry, przygotowując się do życia zakonnego i przyszłej pracy misyjnej, nie będą mogły pracować zarobkowo. Wynajęty lokal przy ul. Ofiarnej z trudem pomieścił pierwszy nowicjat. Ale Opatrzność nie przestała czuwać. Po upływie roku z sum ofiarowanych i pożyczonych, Zgromadzenie nabyło własny dom przy ulicy Piłsudskiego 22, w którym, jako w domu macierzystym, otwarto w jesieni postulat i nowicjat dla nowej partji Misjonarek. A Bóg dalej błogosławił tej pracy przygotowawczej. Ks. Arcybiskup Jałbrzykowski przywiózł w grudniu z Rzymu od Ojca św, zatwierdzenie Zgromadzenia, oraz udzielił pozwolenia na profesję zakonną. Pierwsza grupa Misjonarek złożyła śluby

w noc Bożego Narodzenia, poczem przystąpiono do przeprowadzenia silnej zakonnej organizacji. Wstępując do Zgromadzenia wszystkie siostry były zdecydowane na zmianę obrządku, gdy tego zajdzie potrzeba. Przypatrzywszy się bliżej stosunkom na kresach, poznały, że ta ofiara jest konieczną dla dobra sprawy Bożej. Wymaga jej głębokie, prawdziwe zrozumienie ważności powołania misyjnego. Lud przywiązany gorąco do swego języka, liturgji i obrzędów zaufa tylko tym, którzy sami świecić będą przykładem gorliwości w obserwacji ich świętości religijnych i narodowych. Polka-misjonarka patrjotyzm swój pojmować może tylko jako wielką misję w stosunku do Wschodu. Bez pamięci na dawne urazy narodowe pójdzie cicha i ofiarna, z radosnem słowem pokoju i prawdy Bożej, złączy wraz z kulturą zachodnią wielki szacunek dla obrządku wschodniego, który przyjęła za swój własny, ale pouczy nieświadomych, że z częstej Komunji Św., z czci dla Najśw. Sakramentu i Najśw. Serca Jezusowego płynie i szczęście i siła.

Tymczasem starając się o placówki siostry uczą się gorliwie języka rosyjskiego i cerkiewnego, a także rytuału wschodnio-słowiańskiego, na życzenie zaś Jego Eksc. Ks. Arcybiskupa śpiewają w niedziele i święta w czasie nabożeństwa wschodnio-słowiańskiego w kościele unickim, który, jak ten benedyktyński w Belgji, jednoczy ludność obu obrządków przy ołtarzach łacińskim i wschodnim.

W zaraniu swojej pracy młodziutkie Zgromadzenie zakonne jest pełne wiary i ufności w pomoc Bożą. Ten, który je powołał do życia i dał zrozumienie rzeczywistego posłannictwa Polski, którem jest *praca apostolska* na Wschodzie, pobłogosławi nieudolnym wysiłkom, by jak najwięcej dusz dla nieba pozyskać, a tem samem przyczynić się do zrealizowania gorącego pragnienia Najświętszego Serca Jezusowego, którem jest powrót Kościołów wschodnich do Kościoła katolickiego.

DWA CUDOWNE UZDROWIENIA W LOURDES. W ostatnich czasach zdarzyły się w Lourdes dwa cudowne uleczenia: jedno spotkało dwudziestoletnią uczestniczkę pielgrzymki z Florencji, Idę Fantoni. Od czterech lat leżała ona w szpitalu, ciężko chora na gruźlicę kości, mając uszkodzony kręgosłup oraz sparaliżowane obie nogi. W rodzinie jej już ośm osób umarło na tą samą chorobę. Przywieziono ją do Lourdes na noszach, z górną częścią ciała w gipsie; po drugiej kąpieli w sadzawce mogła poruszyć nogami, nawet chodzić bez pomocy. — Drugiego cudownego uleczenia doznała pielęgniarka Marja Ströbel z Monachium, która od jedenastu i pół lat miała obie nogi sparaliżowane, a po trzech kąpielach w Lourdes nagle sama mogła chodzić.

WIARA I NAUKA.

CZY NALEŻY CZYTAĆ HISTORJĘ?

Rozbieżne co do tego spotykamy zdania; jedni wychwalają historję i pouczenia, jakie z niej wypływają, drudzy znów twierdzą, iż niema historji, jako takiej, a istnieją tylko historje. — Dom Hilaire Duesberg uznał za stosowne i użyteczne poruszyć w swem studjum, niezmiernie wyczerpującem, kwestję dotyczącą „sposobu w jaki należy czytać historję". Studjum to wydała „*Revue Générale*", wychodząca w Brukseli:

Czy historja jest moralną? Z pewnością nie, a przynajmniej nie w sposób podany nam w znanych opowieściach hr. de Ségur, w których występują rózgi i więzienia, oraz srogie kary dla okrutnych królów i krnąbrnych narodów; historja bowiem nie może nam dawać zawsze przykładów natychmiastowej nagrody za cnotę, a kary za zbrodnię.

Niemniej, niektórzy autorzy usiłują wyprowadzić z wydarzeń historji naukę moralną, i do tego dochodzą, ale są to umysły niezwykłe, opanowujące całokształt spraw ludzkich, a przodując losom świata zdają się w Radach bożych zasiadać. Byli i tacy, którzy wiedzieli, że królestwo Wizygotów w Hiszpanji zanikło jedynie dlatego, iż uległo zarazie arjanizmu. Jednakowoż ci sami pisarze nie zdołali nas pouczyć o tem, co spowodowało taką całkowitą ruinę Kościoła w Afryce, który zawsze był prawowiernym. Widzimy też historyków, którzy tragiczny zgon Ludwika XVI kładą na karb błędów popełnionych przez Ludwika XV, oraz Ludwika XIV, nie mogąc się jednak zgodzić, który z nich więcej tu zawinił. Ale dlaczego właśnie Ludwik XVI raczej niż Ludwik XVII, lub XVIII? O tem Bóg jeden mógłby coś wyrzec, ten Sędzia nieomylny i zarazem potężny Pan wszechświata. Tymczasem Bóg milczy; zaczem trzeba wielkiej pewności siebie, a zarazem mało zmysłu religijnego, by w Jego miejscu przemawiać i sądzić. Wystarczy jednak przeczytać traktat Plutarcha: „Odroczenia wyroków sprawiedliwości Bożej", by zmierzyć całą głębię tego problemu, a równocześnie zrezygnować z nadziei, by historja nam dała możność rozwiązania tego zagadnienia. Zagadnienie jest tu źle postawione. Historyk bowiem stawia przed nami wydarzenia historyczne, jak wyniki złe czy dobre wielkich przedsięwzięć; ale ani cnota, ani też występek nie są tu bezpośredniemi czynnikami powodzenia danej sprawy. Powodzenie to od czego innego zależy: od przezorności, odwagi, bystrości, zimnej krwi i wytrwania, a wreszcie i od szczęśliwego trafu. Historja więc może wtedy stać się pouczającą i umoralniającą dla nas, gdy nam wykazuje, jakim sposobem możemy zyskać, lub przegrać partję w rozstrzygającej chwili, a przytem, ile z siebie wydać musimy osobistego wysiłku, który, kojarząc się nieraz ze szczęśliwym trafem, pociąga za sobą zwycięstwo, czy też wywołuje katastrofę.

To skomplikowane zjawisko, które niewłaściwie nazywamy szczęśliwym trafem, jest tą wielką sprężyną życia — i tego właśnie uczy nas historja. Złym będąc, kruszy najdroższe nam nadzieje i do grobu wiedzie młodych książąt, których rządy zapowiadały powszechną szczęśliwość: *tu Marcellus*

eris! A gdy jest dobry, wówczas ratuje z nieuniknionej zguby tego wodza, który potrafi go wykorzystać. Ona to zajaśniała Fryderykowi II, przy końcu Siedmioletniej Wojny, gdy już był u schyłku swej wytrzymałości. Ze spokojem stoika stawiał czoło Francji, Austrji i Rosji, usiłując zyskać pokój przez rozstrzygające zwycięstwo. Wszystko jednak daremnie. Fatalna obręcz zacieśniała się około niego, Berlin już widział wroga w swoich murach; mógł jeszcze na czas pewien odsunąć nieszczęsny wynik, ale całkowicie odwrócić go nie mógł. Jednej nocy tymczasem nadeszła do obozu wieść o zgonie carycy Elżbiety, i o wstąpieniu na tron Piotra III; było to wyswobodzenie, możność przymierza z Rosją, pognębienie Marji Teresy, wreszcie pokój! Tak to historja wykazuje nam, jak mamy kierować naszem szczęściem, a jak unikać poniżenia w nieszczęściu.

Wyzwala nas ona również z ogólnie uznanego przesądu, bezwzględnej wiary w postęp, konieczny, a nieokreślony. Dzięki niej wiemy o niestałości dawnych, a zanikłych już cywilizacyj, jak i o samobójstwie narodów, oddanych bratobójczej wojnie. Ona wreszcie ostrzega nas przed złudzeniem, iż naszej ojcowiźnie nic nie zagraża, i że zatem możemy z niej czerpać, jakby była źródłem niewyczerpanem. Historja również czyni nas skromnymi w stosunku do tych, którzy nas poprzedzili, a zarazem chroni nas od błędnego mniemania, naiwno-głupiego, iż zawsze i we wszystkiem przewyższamy przeszłe pokolenia.

Wielką korzyścią, jaka dla nas z historji wypływa, to kultura naszego umysłu; historja bowiem jest pamięcią ludzkości. Podobnie jak przez podróże przebiegamy świat cały, tak przez historję cofamy się wstecz po przez całe stulecia. W ten sposób dopełniamy niejako nowości naszego istnienia na tej ziemi, przerzucając się w dal, w te ubiegłe wieki.

Czy jednak z tych roczników przeszłości wyciągnąć słusznie możemy dla siebie praktyczne wskazówki na teraźniejszość i przyszłość? Czy historja stać się może wiedzą polityczną, która nam umożliwi orjentację we współczesnych zdarzeniach, a równocześnie da nam przewidzieć, względnie pokierować wydarzeniami dnia jutrzejszego?

Skoro pamięć ludzkości istnieje, również dobrze istniećby powinno i doświadczenie ludzkości.

Tylko nie trzeba zapominać, że doświadczenie tkwi mniej we wspomnieniu, nawet bardzo żywem danego faktu, niż w jego zastosowaniu.

Historyczne prawdy polityki zredukują się zatem do kilku zasad geografji fizycznej, strategji, lub psychologji doświadczalnej, które trzeba będzie umieć zastosować. Ponieważ historja przynosi nam tylko pojedyncze a okolicznościowe fakty, będą one przeto zupełnie inaczej wyglądać, jeśli się je oddzieli od ich przyczyn, lub okoliczności. Zastosowanie tych licznych faktów nie będzie już posiadało znaczenia, ani dowodu. W polityce, świadectwo faktów dokonanych służyć może tylko do porównania jako przykład. Gdy kongregacja dla spraw duchownych nadzwyczajnych zastanawiała się nad możliwością przyjęcia ustawy rozdziału Kościoła od Państwa, za którem głosował parlament francuski, oświadczył się kardynał Rampolla za przyjęciem ustawy. Odmalował niebezpieczeństwo prześladowań religijnych, jakich się lękał, a zarazem przypomniał szkody, zadane Kościołowi

przez schizmę angielską za rządów Henryka VIII. Oczywiście, że ów słynny mąż Stanu nie miał na myśli wspominając o tem, by w danym wypadku położenie Francji z czasów prezydenta Loubet'a i Anglji za rządów króla Tudora było identyczne. Użył tego porównania, by zobrazować niejako swoje własne obawy i nadać im konkretną formę.

Doświadczenie historji mało waży na szali postanowień władców. W 1914 roku wszyscy profesorowie uniwersytetu w Niemczech wiedzieli, iż nigdy Anglja nie pozwalała na to, by w Antwerpji osiedliła się jakaś wielka potęga. Ale w Poczdamie zapomniano o tem, przygotowując plan ataku na Francję poprzez Belgję. Namiętność zwyciężyła, pomimo doświadczenia sześciu wieków.

Oto dlaczego należy unikać tez, które wyjaśniają wszystkie sprawy jedynie przez rozwój organiczny i konieczny. W historjach narodów przedstawia się chętnie oczom ogółu ojczyzna, która rośnie i rozwija się na wzór drzewa. System ten przedstawia tę dogodną stronę, iż rozgrzesza wszelkie przedsięwzięcia zaborcze i uwzględnia przyszłe aneksje, wznosząc niejako naród ponad kwestję moralną. Jednakże należy się strzec tego iredentystycznego stanu duszy, do którego przysposabiają nas dane formuły, a które zresztą służą rozmaitym celom.

W rzeczywistości, historja danego ludu wynika z jego położenia geograficznego, które nie zależy od woli mieszkańców; następnie z polityki, będącej częściowo wynikiem konieczności, w części zaś rezultatem wolnej woli ludzi. Śmiałem byłoby twierdzenie, że położenie Belgji po traktatach z 1839 r. jest szczęśliwym wynikiem organicznego rozwoju; czyż historycy francuscy mówiliby to o dzisiejszej Francji, odsuniętej na długo od brzegów Renu?

Znam jeden tylko fakt stwierdzony rozwoju organicznego, niespaczonego, ale trzeba na to uznać, iz Bóg przemówił do ludzi, by im objawić prawdę religijną.

Ale ten tylko posiada klucz niezrównany do tajemnic historji, kto wierzy — a jest to prawdą wiary, — że Bóg jest Osobą historyczną, Osobą czynną i wkraczającą, by ludzi nauczyć religji, całokształtu prawd, odnoszących się do natury Boga, do natury człowieka i wzajemnego ich stosunku. Kto wierzy również, iż wiara ta jedną jest, a obecnie definitywnie ustaloną została, po przejściu rozmaitych okresów stopniowego Objawienia Bożego.

Początek Królestwa Bożego na tym świecie, najpierw w objawach nieśmiałych, a oględnych, by stać się z czasem pełnemi chwały, zwycięstwa i mocy, postępy, jak i cofania się tej prawdy, będącej bezcennym skarbem ludzkości, czyny i prace tych heroldów, którzy ją ku nam nieśli, przepowiednie proroków, misje apostołów, ofiary męczenników, milczące wytrwanie tego bezimiennego tłumu wiernych; oporność przesądów i błędów, brutalna zachłanność władzy świeckiej, pogarda uczonych, odstępstwo wodzów — a ponad tą bezlitosną walką pomiędzy światłem a ciemnością, wynosząca się nieporównana postać Jezusa z Nazaretu, Syna Boga, który w ciele ludzkiem na świat ten zstąpił jako widome objawienie zbawienia ludzkości, cała miłość boża zawarta w tajemnicy tej doskonałości ludzkiej, oto co stanowi wspaniałe podłoże, do którego każdy umysł przeniknięty

wiarą sprowadza z zapałem wydarzenia historji, widząc w niej tylko narzędzie, mające służyć jedynemu, niezbędnemu dobru: czci Boga, czci Ojca w duchu i prawdzie. Horyzonty historji rozjaśniają się wówczas dla nas, wartości różniczkują się, sąd wydaje się sprawiedliwy, waży się czyny, cała historja religji rozwija się przed nami, począwszy od pierwszego człowieka, aż do współczesnego Papieża; ale to już stanowi teologję historji; jest to wykład Bossueta o historji powszechnej.

Zazwyczaj rola historji w naszem życiu politycznem jest znacznie bardziej ograniczoną, niż się to zwykle przypuszcza. *M. M.*

LEGENDA O „WIELKICH WTAJEMNICZONYCH".

Dzieła Schuré'go, choć mętne i zawierające wiele nieścisłości i fałszów historycznych i wprost przeciwne nauce Kościoła, cieszą się u nas dla swego błyskotliwego stylu i pozorów naukowości dość dużą popularnością. Zamieszczamy poniżej krótkie sprawozdanie z książki ks. L. Roure, która zajmuje się działalnością Schuré'go. (Przyp. Red.).

Edward Schuré jest autorem dzieła *Wielcy wtajemniczeni*, dzieła, które według jego własnego zdania, miało być wskrzeszeniem misteryj eleuzyjskich w związku z nauką Chrystusa Pana. Szukał do tego pomocy w tajemnych naukach Indyj, Egiptu i Grecji.

Oprócz innych dzieł mniejszych, drugie najważniejsze jego dzieło to *Od Sfinksa do Chrystusa*, zawierające wspaniałym stylem napisane, fantastyczne dzieje kosmiczne systemu słoneczno planetarnego z kataklizmami Lemurgji i Atlantydy. Centralna myśl tego wątka legendarnego, ale *przedstawionego jako istotne fakty*, to dowodzenie, że dusza Chrystusa to *pierwiastek kosmiczny Boga-Słońca*, który wcielił się w osobę ludzką Jezusa w chwili chrztu w Jordanie. Zdawałoby się, mówi Lucien Roure w krytycznej swej ocenie jego twórczości,że przedsiębiorąc takie zadanie „odświeżenia religijności w ludziach przez szukanie u źródeł wszelkiej religji" — będzie Schuré starał się skupić w samotności, nauce, modlitwie i rozmyślaniach. Jednak nic z tego — on szuka natchnienia w życiu oddanem namiętnościom i błyskotkom światowego życia i tworzy dzieła pełne barw i dźwięków, ale dalekie od wnikliwości, powagi i wzniosłości mistycznej w naszem rozumieniu tego słowa.

Tyle L. Roure w wstępie do krytycznego rozbioru „Wielkich wtajemniczonych", poczem kolejno w czterech krótkich rozdziałach wykazuje błędy w pojmowaniu postaci Ramy i Kryszny, bogów Indyj, Hermesa, Mojżesza, Orfeusza, Pitagorasa i Platona, jako wielkich wtajemniczonych poprzedników Chrystusa. Wreszcie najobszerniejszy ostatni rozdział poświęca rozważeniu osoby Chrystusa jako Esseńczyka według przedstawienia Edw. Schuré.

Edw. Schuré pisze swe dzieła pod wpływem kilku osób, które darzył namiętnem uwielbieniem i admiracją. Pierwsza z nich to Małgorzata Albana, kobieta niezwykle inteligentna, obdarzona siłą sugestywną, światowa, a zarazem przepojona mistycznym nastrojem, entuzjazmująca się dla rzeczy

tajemnych. Lata od 1871—1887 są dla Schuré'go okresem miłości ku p. Małgorzacie. Drugą silną indywidualnością, która oddziaływa na niego, to muzyk Wagner; jego potężne dramaty muzyczne wstrząsają duszę wrażliwego intelektualisty-mistyka. Wreszcie najsilniejszy wpływ wywiera na niego Rudolf Steiner, wskrzesiciel nauki Różo-krzyżowców i założyciel Stowarzyszenia antropozofów.

Krytyka historyczno-filozoficzna, jaką stosuje Roure, wykrywa nikłość usiłowań Schuré'go, by przedstawić Ramę jako postać wielkiego wtajemniczonego, druidę północnego, zdobywcę Indyj. Roure wskazuje też na źródło z którego Schuré czerpał swe fantastyczne wywody, a mianowicie *L'histoire philosophique du genre humain* Fabre d'Olivet'a F.J.O., który urodzony w Indjach, zatrudniany w charakterze tłumacza w czasie wyprawy Napoleona do Egiptu, uprawiał naukę okultystyczną.

Tak jak przy kreśleniu Ramy również i przy opisie Kryszny mija się Schuré z tradycją, według której Kryszna nie wygląda na bohatera religijnego.

Poważny historyk jakim jest August Barth, autor dzieła *Les Religions de l'Inde*, wyraża się o Schuré'm a propos jego fantastycznych pomysłów o Krysznie: „Nawet poetom nie wolno w ten sposób przekręcać historji": („Il n'est pas permis, même aux poêtes, d'ainsi se jouer de l'histoire").

Swe wiadomości o „Hermesie", powiada Roure, opiera znowu Schuré na dziele Henri Delange'a *Doctrines des Sociétés secrètes*, ale nie podaje tego źródła. Roure dochodzi do tego zdania na podstawie opisu sceny „wtajemniczenia" w piramidzie z Memfis. Z Mojżesza czyni Schuré egipcjanina, idąc za historykiem Joseph Manéthon z 3-go w. przed Chrystusem, wielkiego przeciwnika żydów. Według niego, Mojżesz przyjął wiarę w jednego Boga od Jetry, kapłana sekty monoteistów; twierdzenie to sprzeciwia się wszelkim danym historycznym.

Symbolicznej postaci Orfeusza daje Schuré piętno historyczne, łącząc bezpodstawnie wszystkie doktryny o misterjach greckich w jedną osobę Orfeusza. Osoba Pitagorasa dawała wdzięczne pole Schuré'mu do rozwinięcia pomysłów o ezoterycznej mądrości, jednak zdaniem Roure'a nie wyzyskał Schuré danych historycznych i znowu tylko dał nam wizję dramatyczną. Zwłaszcza jako wymysł Schuré'go traktuje Roure utożsamianie czcicieli słońca z ideą słońca, jako światła nadprzyrodzonego.

Tymczasem w systemie pitagorejskim główne miejsce zajmuje idea moralno-społeczna, a doktryna panteistyczna o bóstwie jest drugorzędną.

Odnośnie do teorji religijno-filozoficznej Platona kategorycznie sprzeciwia się L. Roure takiemu ujęciu kwestji, jakie przedstawił Schuré, a mianowicie, by „idee-typy" platońskie były odpowiednikami „liczb świętych" pitagorejskich.

Roure rozumuje w ten sposób: „Idee platońskie istnieją poza rzeczami, liczby pitagorejskie tkwią w rzeczach samych, o ile pitagoreizm jest mglistym panteizmem, o tyle platonizm jest ścisłym dualizmem".

Ostatni i największy z „Wtajemniczonych" to Jezus Chrystus, „światło ezoteryczne, pochodnia wewnętrzna wszystkich prawdziwych religij, prawda centralna wszelkiej płodnej filozofji". Mimo zastrzeżeń, że nie pójdzie drogą

Bauera i Straussa, powątpiewających o bycie historycznym Pana Jezusa, Schuré staje w sprzeczności z tekstem ewangelji, już zaraz z początku, pisząc o miejscu urodzenia Pana Jezusa „urodził się prawdopodobnie w Nazaret".

Tajemniczą wiedzę ezoteryczną posiadł Jezus zdaniem Schuré'go od Esseńczyków. Tu zatrzymuje Roure swe wywody krytyczne, aby dać czytelnikom krótki rys historyczny o Esseńczykach; posługuje się tekstem z Plinjusza Starego (23—79 r.) Filona aleksandryjskiego 30 r. i Józefa historyka 35—90). Według tych źródeł jest to sekta męska złożona z około 4 tysiąca osób, żyjąca na zachód od Morza Martwego (w Syrji), w zupełnej abnegacji od uciech światowych, o wspólnej własności, bez pieniędzy, bez kobiet, bez mięsnego pokarmu, oddająca się pracy, modlitwie i ścisłemu obserwowaniu przepisów zakonu. Głównem staraniem ich jest równość i pogoda usposobienia, umartwienie spokojne i wzajemna życzliwość ekskluzywnie w łonie swej sekty. Naukę czerpią z Pisma św., którego symbole wyjaśniają biegli i starsi młodszym.

Po tym szkicu wykazuje Roure sprzeczność całego charakteru nauki Chrystusowej pełnej miłości dla wszystkich, uznającego towarzystwo kobiet, od tego ciasnego, choć bezsprzecznie wysokiego poziomu Esseńczyków. Schuré opowiada o bytności Pana Jezusa w siedzibie Esseńczyków przez szereg lat, gdzie wtajemniczają Go w symbolizm Pisma św. oraz w doktrynę słowa Bożego, tego samego które wykładał Kryszna w Indjach, kapłani Ozyrysa w Egipcie, a Offici i Pitagoras w Grecji. Jest to bardzo efektowne twierdzenie, jednak zupełnie fantastyczne i nie oparte na wiedzy historycznej. Czyli można powiedzieć o dziele Edwarda Schuré, że jest dziełem literackiem, które jako fantazja może być ciekawem i pięknem, ale szkodliwe jest dla religji, bo nadużywa prawd wiary, naciągając je do swych fantastycznych teoryj.

Z. K.

KATOLICYZM SCHELERA. Tygodnik *Das Neue Reich* przynosi szczegóły o stosunku niedawno zmarłego znanego filozofa niemieckiego Maksa Schelera do katolicyzmu. „Scheler, który bez wątpienia był jednym z najgenialniejszych ludzi naszych czasów, przeszedł za młodu na katolicyzm. Potem jednakże przyszedł na niego okres obojętności. Podczas wojny, około roku 1915, stał się wraz ze swą żoną katolikiem praktykującym. Tak samo w swych pismach uważał się za katolika, najsilniej we wielkiem swem dziele *Vom Ewigen im Menschen* gdzie, opierając się na myśli św. Augustyna, daje uzasadnienie wiary w Boga, które należy do najcenniejszych rzeczy jakie posiadamy. Koło roku 1922—23 rozbiło się jego małżeństwo przez ukazanie się kobiety, dla której Scheler wziął rozwód i ożenił się powtórnie. Filozofja jego nigdy nie była suchą doktryną, lecz zawsze przekonaniem urobionem przez życie. Więc i teraz stała się ona odbiciem jego życia. Scheler niezwykle cierpiał nad grzechem. Nie mógł go znieść i dlatego wreszcie szukał i znalazł zło w Bogu. On, który najsilniej zwalczał panteizm, doszedł do pojęcia Boga, który tragicznym sposobem rozwija się w świecie. W r. 1928 przeniosł się do Frankfurtu, gdzie wkrótce umarł. Oficjalnie zerwał on z Kościołem. Jego pierwsza żona, która była obecną przy śmierci, prosiła o pogrzeb katolicki, wiedząc, mimo wszystkiego co Scheler mówił i czynił, co najlepiej odpowiada jego intencji, gdyż ten genjalny, lecz słaby i grzeszny człowiek, był bardziej katolikiem niż sam to przypuszczał".

Za pozwoleniem Władzy Diecezjalnej.

Red. odp. i Wyd.: Zofja Włodkowa, Kraków, Pędzichów-boczna 5.